

(wybór fragmentów z książki „wielowarstwie. donosy (z) ciała miasta”)

skóra miasta

miasta składają się z warstw: miękkich, twardych, lepkich, kwaśnych, gorzkich. od kilku miesięcy notuję zmiany. kiedy chcę bosy, lżej stawiam stopy na podłożu. czasami ziemia jest twarda od skostniałej wilgoci. zimna skorupa. nie można jej wydeptać ani ogrzać. zdejmuję buty, odkładam je na bok. i tak od kilku miesięcy. draperie, zasłony, wylinka, suchość w kącikach, wilgoć w spadku: to osobne życie miasta. dzieje się na marginesach tego ludzkiego: w zawiązkach pleśni, w pęknięciach, w płatkach warstw, w szorstkości tynku. skóra cienka. gruba skóra. skóra miasta (...).

zapach Idz

nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale trafiło wprost do nosa. wiatr zbiera wszystkie zapachy, które napotyka na swojej drodze, więc pytanie przywiał sam. gdzieś na wysokości wieńkowskiego – 1 maja. może trochę dalej.

jak czuć miasto? jak mają się jego miejsca własne: suche, eleganckie, wilgotne, wstydlive. miasto kolos, pod którego warstwami krzyżują się raz wąskie, a raz szerokie strugi cieczy. w tych drobnych naczynkach wibrują wody podziemne, piętrzą się i spływają węższymi kanalikami, zasilając spodnią warstwę miejskiej tkanki. przez sączi z drobin i kurzu wydobywają się na powierzchnię w postaci grząskich plam. efekt gąbczastej materii. wdepnie jeden czy drugi w bezwstydną glinę miasta i rozniesie je, rozchlapie, rozpleni.

(...) na bałutach, w okolicy żytniej, suche fioletowo-różowe udo baby z czerwonymi jak malina ustami. w brokatowej czapce z daszkiem. udo suche i poprzerastane drobnymi niteczkami naczyń krwionośnych, świeżo poskubane, poszurane, podrapane. trochę jasnego naskórka zrolowało się na wysokości dyniowatej dłoni, zostawiając za sobą fioletowe ślady – znacznie dłuższe od palców. nad wyraz widoczne udo baby z żytniej.

siedzą na ławce między kamienicami i grzeją się w końcówce września. przy dużym grillu – odwróconym na bok wózku z auchan. cisną patyki z mięsem między rozżarzony metal. skwierczy, syczy, stęka. żytnia pachnie dziś słodyczą krwi i goryczą spalonej skórki. miejsce na grill jest gorącym i rozdrapanym strupem, które ciska kurwami i puszcza między nogami wiązanki sąsiednich słów. w ciepłym słońcu, które opiera się o dachy niższych kamienic – scena nie mogłaby wyglądać bardziej groteskowo. słodycz miodu przewodzi makabrę. późne lato obarczone jest błędem.

dziewczynka, która dotychczas z nogą na nogę cicho siedziała na taborecie, z suchym kłaśnięciem odkleja się od lizaka. musiała usiąść na nim zupełnie przypadkowo.

ba/łu/ty

wojska polskiego jest długą ulicą, która przecina dzielnicę w sposób bezpardonowy. z jednej strony aura nie tężeje, z drugiej już dzieje się z nią coś nie tak. na rogu franciszkańskiej można to poczuć w trzewiach. więc stoję tuż przy skrzyżowaniu tych dwóch ulic, na pasach z długimi światłami. znudzeni kierowcy sterczą, ja sterczę. kątem oka widzę, jak grzebią w zębach, szukają wygodnego miejsca na łokieć, mielą w ustach teksturalne przypadkowe mięsa z okolicznych bud, kapią na zakurzoną tapicerkę i tłuszczą miejsca po wczorajszej brodzie lub patrzą sennie w przestrzeń, albo – wręcz przeciwnie – trwonią stare dobre kurwy jak drobne.

z tego kadru zapamiętuję sos ketchupowo-musztardowy na wyświeconym papierze wyrzuconym na zielonym świetle. może polski sos tysiąca wysp – ekwiwalent poniedziałkowego szczęścia. i tylko współczuję umazanym, i im zazdroszczę. sama może chętnie wystawiłabym się na takie szybkie szczęście – na wyciągnięcie jednego ukłucia głodu. szybkiego do zaspokojenia (...)

więckowskiego 44

nie chciałam tego zmarnować, więc sytuacja ogniskowa. godzina okołopółnocna. poprawiam wilgotny koc pod siedzeniem. wrześniowy chłód przeszywa na wskroś. odsłonięte kostki wystawiam w stronę płomieni. gdzieś na ruszcie pyrka reszta uczyty, w żarze kopcą się ziemniaki w chrupiącej skórce.

więckowskiego 44: mijam rumianego typa w turkusowych leginsach. a w zasadzie w czymś między śpioszkami i rajtuzami podciągniętymi pod szyję, bo rolują się już na wysokości klatki piersiowej. purchata materia z rozciągniętymi nitkami. mógłby się nimi obwiązać kilka razy. na tle odbitej miedzi w promieniach zachodzącego słońca typ prezentuje się ostentacyjnie radośnie. może jest tym rzadkim kolorem, który przytrafił się dziś tej okolicy.

i tylko teoretycznie chciałam wiedzieć, gdzie idzie, i w którą dziurę po sobie samym wlezie. ma w siatce dużo cytryn. przewalają się w rytmie turkusowych odnóży. i tylko myślę, że mają w skórce takie pory, jakie ma ich nosiciel.

bardzo nie chciałam zmarnować tego kadru.

mielczarskiego

jeden z tych dni, kiedy idziesz, ale wiecznie się schylasz. jesteś wilgocią, która chlapie w bucie i spływa ulicami miasta, wzdłuż cherlawych alei - rozmoczonych zimną herbatą z herbatnikami. ze starego kredensu za szybą kryształową. twardą. idziesz, wspominasz wyznanie starego łodzianina: o towarzyskich mordoklejkach, które nie są dobre na zimne i chlapiate dni. jeśli pogoda się nie zmieni, to moje teksty o łodzi będą nietowarzyskimi mordoklejkami. jak ów jegomość z miasta łodzi nie wiem, czy nie mam butów tył na przód. od sasa do lasa. i chciałam opieprzyć go, ale nie mogło być źle, skoro widziałam tyle spadających gwiazd. i kometę - nad drzewami - która zapaliła się żywym ogniem na skinienie oka. przez mikrosekundę, milisekundę byłam z nią, z ognistą kometą, oko w oko, pół na pół. potem była tępa cisza, bo oniemiałam. o_nie_mia_łam.

imagine: łódź czystą, transparentną, bez zawiesiny

zapisuję: ldz

wykrzyczeć ulicę albo ją wyjęzyczyć. wziąć między palce i zmechacić. potem pod językiem uformować z niej kulkę, ale nie połykać, tylko pozwolić jej puchnąć i wsączać się w ciało, przyjmować w siebie jak obcy organizm. opowieści o przedłużonym uwalnianiu. ekonomia dnia powszedniego. święto języka w pęknięciu chodnika.

mijam matkę i dziecko, mijam matkę z dzieckiem. chłopczyk trzyma w ręku kartonowe pudełko, może z chomikiem, może z małym kotkiem. zwierzątko chyba miauczy, bo niesie się za mną przerywana krokami kocia melodia, jakby ocierał się o kartonowe ścianki, jakby miauczał o uwagę, o dotyk drżącego ciepłego ciała zgodny z kierunkiem wzrostu sierści. w kartonie jest jeszcze ciszej, ciemniej, chłodniej. matka z dzieckiem przechodzą przez wyblakłe pasy, idą w kierunku kamienicy z dykty. pachnie tartakiem, wiórami. na klatkach schodowych kartony wilgotnieją między palcami.

(...)

jak się dzisiaj czujemy?

(...)

zielarnia bałucka: matecznik języka. czyste złoto, czarcie żebro, szczodrak krokoszowaty, zaklęcia, imiona magiczne, wypowiedane raz na wdechu, raz na wydechu z uderzeniem koniuszka języka o zęby. twarda fonetyka, radykalna wiedza tajemna. paradoks. jestem druga w kolejce, ale nie chcę stąd wyjść, dopóki panie przede mną się nie wyjęzyczą, więc przepuszczam kolejne osoby, kobiety, mężczyzn, dzieci. głosy wchodzą w swoje ciała i wpadają w ceramiczne naczynia. dźwięki skraplają się na witrynach z grubego szkła. zawartość musi lekko drzeć od natężenia. ostatecznie zostaję sama. zapominam, po co przyszłam.

bałuty na cztery łapy plus dwie

(...)

sześćdziesiąt procent bałut pachnie naftaliną
wodą toaletową pani walewska i może “być może...”

pachną podwórka
wnętrza szaf, szafek i komód

lawenda i pół cytryny

na skrzydlate strachy
mole przesiewają mąkę
cerują rajstopy
grzebią w tkaninie płaszcza

reszta drażni nozdrza chmielem w urynie
wczorajszymi sandałami dymią kominy

co drugi spacer mamy dłuższy. mój pies znosi wtedy do domu pół dzielnicy. elegancko, jak przystało na sukę z inteligenckiego domu, wskakuje do wanny i już na wlocie maże ją podwoziem. przez chwilę sierść pamięta wszystkie bałuckie tragedie mijającego dnia: złe kroki, gówniane roztopy, miękkie rozchodniaczki, trochę śliny i uryny. we włosach ugrzązł dym. szybko pozbywamy się śladów.